

St. R. Stande

Poeta-komunista, czuły zarówno na piękno wizji poetyckiej jak i na niedolę klas uciskanych, w poezji swej głosił wiarę w wysiłek ludzki, zmierzający do obalenia ustroju wyzysku i budowy nowego świata — świata powszechnego piękna i szczęścia. Zamieszczamy poniżej dwa jego wiersze z różnych okresów życia. W obu — mimo różnic nastrojów — zawarta jest ta sama wiera w przyszłość wywalczona rękami bojowników sprawy ludu. Pierwszy, poświęcony bezrobotnym górnikom Śląska, opublikowany został w zbiorze poetyckim, wydanym w Polsce w latach trzydziestych, drugi napisany został w 1934 roku w Moskwie.

Ludzie — szczury*)

Jesteśmy ludzie-szczury,
głodni, wędrowni szczury,
bez dachu — lby ponure
wślizgujemy pod mury,
podgryzamy fundament
twardy, pyszny wiekami,
wnosimy, się, padamy,
ostrzyżmy zęb o kamień.

Pięknie głodnych nazwano
ludzi ludźmi-szczurami.
Nocą, w południe, rano
piskiem zgłodniałym gramy,
chmurą szarą idziemy,
o kęs wyrwany z gardła,
o okruch, tkwiący w ziemi,
będzie się ciżba darła.

Nie ma dla nas dostępu
do pańskich hut i kopalni,
tnie nas mróz, jak nóż tępy,
z ziemi wyrwimy opał!
Gnamy za czarnym kąskiem,
każdy chce pierwszy przybyć,
otwieramy na Śląsku
kopalnie — bieda-szyby.

W każdy żyłasty skrawek
ziemi śląskiej wyjętęj,
swoim zdobywczym piórem
głodni wgrzyzamy zęby!
Wyrrywamy z niej tony
czarne, skarb jej i dumę,
szczury, przemysł ogromny
szczurzym tworzą rozumem.

Ziemio, pogódź się z nami,
dasz po dobru czy nie dasz,
twardy węgiel tonami
wywieziemy na sprzedaż.
Kupią od nas, bo taniej,
węgiel razowca wartę,
chleb oselką się stanie
dla naszych zębów starych.

Głodni pójdziemy ławą
Szczury, na bitwę wolną,
by z waszych pięści krwawych
wyrwać nasze kopalnie,
by na zdobytych murach
przyszłość otworzyć światu —
każdy ma szczur w pazurach
mandat Rad Delegatów!

*) Tak prasa burżuazyjna nazwała bezrobotnych na Górnym Śląsku, samowolnie dobywających węgiel z odkrywek, które z kolei otrzymywały nazwę „bieda-szyby”.

Marzenie

(fragment poematu „Człowiek kroczy po ziemi...”)

Zmienia swój tor wyboisty historia —
w ogromnych, jasných laboratoriach,
w ogrodach, na śnieżnych szczytach, w Alpach,
synowie tłaczy moskiewskich promieniami alfa
będą rozbijać najbardziej uparte atomy
i ściągać w kondensatory pył ogoniastych komet,
i syn szturmowca z kolchozu „Lenin”,
profesor fizyki na uniwersytecie w Jenie,
będzie wieczorem

„Wiersze wybrane”

Majakowskiego, czytał swym dzieciom

do rana,

krwią,

bohaterstwem nabrzmiałe słowa:

„Czyż nie lepiej,

jak Feliks Edmundowicz,

serce

oddać

epoce na pocisk?”

I w oczach dzieci

sny o potęgze

będą się złościć.

Jakiś malec będzie szukał z zapalem

W encyklopedii światowej niezrozumiałych
słów, dziwnych słów: „wyzysk” i „klasa”,
i znajdzie je w dziale:

„Z przedhistorycznych czasów”.

Moskwa 1934.



NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY

DODATEK „GŁOSU”

Niedziela 8 IV 1956

Rok VII Numer 14

Co warto wiedzieć o MTP?

Długi i szacowny rodowód

dr Janusz Ziółkowski

konsultant ekonomiczny
zarządu MTP

W roku 1956 Międzynarodowe Targi Poznańskie obchodzą podwójny jubileusz: 35-lecie istnienia i zorganizowanie 25 z rzędu imprezy targowej. W wielkiej rodzinie targów europejskich Targi Poznańskie zajmują nader poczesne miejsce. Niewiele instytucji targowych może wykazać się równie długim istnieniem i podobnie bogatymi tradycjami handlowo-wystawienniczymi. Wydaje się więc rzeczą ze wszech miar wskazaną, by w roku jubileuszowy Targów Poznańskich ukazać najbardziej charakterystyczne momenty z ich przeszłości, przedstawić ich twórczą rolę w gospodarce kraju i międzynarodowym życiu handlowym.

Lat temu 700...

Międzynarodowe Targi Poznańskie, jako współczesna instytucja ekonomiczna wymiany, nawiązują do międzynarodowej roli handlowej Poznania w poprzednich wiekach. Podobnie rzecz ma się z innymi wybitnymi targami kontynentu europejskiego. Targi w Lyonie i Bordeaux powołują się nawet na tradycję rzymską, Targi w Göteborgu dopatrują się swego początku w targach z czasów Wikinów, Targi Lipskie skłonne są widzieć swego poprzednika w jarmarku ustanowionym dokumentem z 1268 r.

Kodeks dyplomatyczny Poznania obfituje również w liczne dokumenty świadczące o bujnym życiu handlowym miasta już w zaraniu jego istnienia. W r. 1231 Władysław Odonic zwałnia od cel kupców przybywających z towarami do Poznania na odpust św. Dominika. Przywilej ten potwierdza książęta z dynastii Bolesławów w r. 1254. Wreszcie dokument lokacyjny Poznania z 1253 r. zawiera postanowienie o powołaniu targu dorocznego, zależającego późniejszego jarmarku o znaczeniu międzynarodowym.

Handel Poznania w tym okresie w małym jeszcze stopniu nastawiony jest na kontakty z innymi krajami. Szlaki ówczesnego handlu międzynarodowego przebiegały Polskę na linii Bałtyk—Wętry poprzez Toruń i Kraków, oraz na linii Europa Środkowa—Ruś poprzez Wrocław i Kraków. Sytuacja zmieniła się od końca XIV w., gdy wydarzyła polityczne spowodowały przesunięcie się szlaków wielkiego handlu. Zatarci i wojny polsko-krzyżackie sprawiły, iż Polska w porozumieniu z książętami zachodnio-pomorskimi, dla ominięcia krzyżackiego wówczas Torunia i Gdańska, wytyczyła szlak bałtycko-węgierski z Krakowa na Poznań i Szczecin. Ponadto na skutek unii polsko-litewskiej znacząca część eksportu z ziem litewskich i północno-ruskich (głównie skóry, futra, wosk, czerw), monopolizowanego dotąd przez Niemców, skierowała się przez Mazowsze i Wielkopolskę na środkowe i południowe Niemcy via Wilno — Warszawa — Poznań — Lipsk — Norymberg.

Wreszcie w pierwszej połowie XV wieku sformował się drugi wielki szlak między Europą Środkową a Wschodnią z Rusi południowej poprzez Lwów, Lublin, Poznań w kierunku Lipska (szedł wtedy eksport bydła ruskiego i moldawskiego na Śląsk do Marchii i Saksonii). W ten sposób Poznań znalazł się w centrum szlaków wielkiego handlu. Do ustalenia się tej pozycji przyczyniło się walcenie prawo składu przyznane miastu już w r. 1394.

Złoty wiek miasta

Stosunki handlowe Poznania z Lipskiem zasługują na nieco bliższą uwagę. Uderzająca jest analogia losów tych miast. Oba, raczej skromne, sprawujące funkcje do czasów przewrotu w wielkim handlu, urastają na przełomie XV i XVI stulecia do roli głównych ośrodków handlowych swych krajów. Poznań staje się wielkim emporium, głośnym w całej Europie, i przeżywa złoty okres swego rozwoju. Lipsk, dzięki swym noworocznym jarmarkom, uchodzącym za największe targi w Europie Środkowej i Zachodniej, otrzymuje charakterystyczną nazwę „Messestadt”. Nie jest dziełem przypadku, że również

Podstawową instytucją wielkiego handlu były jarmarki; spełniały one funkcję obecnych targów międzynarodowych. Poznań posiadał swój głośny na całą Europę jarmark świętojański, który wykształcił się już w połowie XV wieku, a szczyt swego rozwoju osiągnął w XVI i pierwszej połowie XVII wieku. Międzynarodowe Targi Poznańskie doby obecnej mogą więc wykazać się

(Ciąg dalszy na str. 2)

Wiesława Stypa

Na prawach „Wolnej Trybuny”

Kłopoty i próba portretu poznaniaka niepocziwego

Sądzę że naszkicowany obok portret „pocziwego poznaniaka”, choć nie obejmuje wszystkich rysów przetowanego modelu, pozbawiony jest cech nowatorstwa w tym stopniu, że uzyska urzędowy akcept.

A oto wariant portretu: poznaniak uspołeczniony.

A więc rocznice i osiągnięcia! Osiągnięcia i rocznice! Rocznicę są w warunkach Poznania niezbędne. Nadają jej placom i ulicom nowe imiona — świeże maseczki na starych twarzach. Powyższy lukier osładza konserwatywnym poznaniakiem pigułkę niejednej biurokratycznej decyzji.

Na Targach — gospodarze kraju i świata, „kiwani na całego” przez dowcipnych rodaków warszawskich, klną starczyście, ale z uporem, prawdziwie po poznaniu, rehabilitują polski zmysł organizacji w oczach zagranicy.

Najlepsza w Polsce opera, doskonała filharmonia, dobre teatry, uniwersytet o niebyle jakich nazwiskach, tradycje kulturalne i rewolucyjne, i... wizja przyszłości w oszalałymi jących cyfrach. I czemuż to. Nowa Kultura, posiała tyle niedobrego ziarna na tak pięknie uprawioną glebę? Są bowiem wśród pocziwych i niepocziwych poznaniaków, którzy łamiąc zasady solidarności z rodzimą prasą, czytają i Nową Kulturę.

Nierazki to objaw, że prasa centralna bez należytego zrozumienia dla obowiązującej w sprawach lokalnych dyskrekcji, wszczynając głośną rozprawę o troskach i kłopotach prowincji. Autorzy szeregu artykułów zamieszczonych w bież. roku w Nowej Kulturze (A. Wróblewski nr 2, H. Malawski nr 12 i nr 13 Nowej Kultury) stwierdzili jednomyślnie: pozycja kulturalna jaka zajmuje nasze miasto (w szeregu większych uniwersyteckich miast), jest jedną z ostatnich. Zdaniem tych autorów odpowiedzialność za postępujący w ostatnich latach proces „odkulturnienia”

Zamiast motto:

Jest pracowity i sumien-
ny. „Diabłu” wytrwały.
Nie celebrował swoich cier-
pień. Nie żywi pietizmu dla
ruin. Trochę niesmiało w
najszybszym zakątku serca
pielegnuje zbędny chwasek
lokalnego patriotyzmu. Czyta
z namaszczeniem ściśle
przeznaczając porządek:
„Głos”, „Gazeta Poznańska”,
„Express”. W okresach
nadzwyczajnych wydarzeń
odwraca kolejność. Pojmując
denotujący dosłownie za-
wilości drukowanego słowa.
Szacunek dla wszelkiego ur-
zędu łączy z czcią niemal
bahwochwala. Znamy
twierdzą, że to jeszcze cień
„pruskiego drylu” błaka się
po zakamarkach jego duszy.
Wyobraźnia — wykazuje
wahania w ramach półśre-
dniej do ciężkiej, konfliktu —
umiarkowane, na skalę wo-
jewódzkiego miasta o rolni-
czym zapiecu. Wzrost kul-
tury mierzy wyłącznie przy-
rostem pewnych instytucji
publicznych o wyłącznie in-
dywidualnym przeznaczeniu.

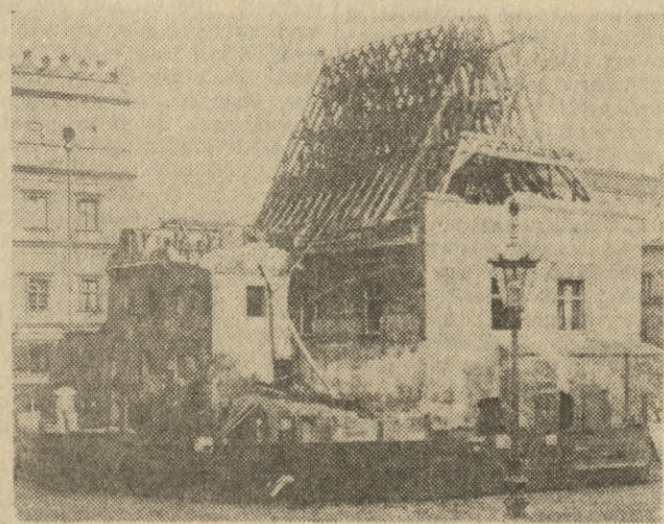
tywom rozwoju tych instytucji w planie 5-letnim) nieodparcie nasuwa się pesymistyczny, nie wiadomo czy słuszny, wniosek: następuje „odgórna” likwidacja tych wydziałów na UAM, które ze względu na swój specyficzny charakter nie są w możności spełnić roli usługowej wobec rolnictwa.

Znamy ocenę czynników materialnych odnośnie naszej „Szkoły Rolniczej”. Wystarczy, że zasłużyła sobie na miano najlepszej w kraju. Wolno nam chyba jednak domagać się jasnej odpowiedzi na dręczące nas od miesięcy pytanie: czy nie ma innych możliwości dla rozwoju placówki naukowej o bezspornie pierwszorzędnym znaczeniu dla gospodarki kraju, jak tylko droga unicestwienia myśli humanistycznej, w dziedzinie, której Poznań ma niebyle jakie, ośmielam się twierdzić, że większe od Warszawskiej tradycje.

Ale zejźmy stopień niżej w hierarchii władzy. Zapewne i wojewódzkie czynniki obciąża niemala odpowiedzialność za degradację kulturalną Poznania. Za niezbyt śmiałe i zdecydowane postawienie naszych kulturalnych zapotrzebowań na szczeblu centralnym. Kto odpowiada wreszcie, za jedyny bez precedensu w dzie dziejnie kultury fakt, że blisko 400 — tysięczne miasto uniwersyteckie, stolica jednego z największych w kraju województw, siedziba wielu szkół wyższych i instytucji kulturalnych, poważny ośrodek najróżniejszych gałęzi przemysłu, o niemałych aspiracjach „ogniska kulturalnego” zachodniej Polski, aż do dnia dzisiejszego nie posiada ani jednego czasopisma o charakterze kulturalno-społecznym. I co smutniejsze, że nie można dostrzec żadnych pocieszających symptomów, które by wskazywały, że ów kompromitujący precedens jakimś niebawem należne mu miejsce wśród rekwizytów przeszłości.

Czas zrewidować bezpieczną, ale nie rewolucyjną, postawę zręcznych „uników” za paragrafy negatywów”. Czas zmienić wygodny schemacik powyższego portretu. Życie już dawno rozsądziło jego wąskie ramy. Poznaniacy przestali być pocziwymi „ziadaczami chleba”, a ich potrzeby kulturalne przerosły dawno zakreślone im bezdusznie granice wyłącznego upowszechniania wiedzy rolniczej, i żadnego z kulturalnych działaczy nie zwalnia od odpowiedzialności fakt, że „grunt jest niepodatny”.

Jalowa jest gleba wielkopolskiej ziemi, a przecież twardy upór poznańskiego rolnika uczynił ją spichlerzem Polski. Skierujmy ten upór wszędzie tam, gdzie wschodzi zachwala a radosny pęd kulturalnej inicjatywy.



Niestety, zabytkowy budynek „Wag” rozebrano w 1893 r. Dopiero teraz w Polsce Ludowej będzie odbudowany.

Fot. K. Przychodźki

Stara „Waga Miejska”



Tak niegdyś wyglądał budynek „Wagi Miejskiej”. Tam właśnie odbywały się największe transakcje handlowe na jarmarkach, które później rozwinęły się w wielką instytucję „targów poznańskich”, a w międzywojennym dwudziestolecu — w instytucję Międzynarodowych Targów Poznańskich. Mówi o tym artykuł zamieszczony przez nas obok.

Fot. L. Perz i F. Maćkowiak

METALE DZIWNYCH MOŻLIWOŚCI

Technika rozbicia jądra atomowego dała o sobie znać wstrząsem zniszczeń i złowieszcym wybuchem, który oświetlił zwęglone wzgórza Hiroshimy.

Technika półprzewodników od swych narodzin zaznaczyła się pokojową, konstruktywną pracą. Można powiedzieć, że droga do wyżyn nowej techniki stała się krótsza od chwili, gdy uczeni odkryli pracovitą roczną półprzewodnikową pierwiastek w Rodzina jest już dość liczna i wkrótce niewątpliwie wzbogaci się o nowe pierwiastki. W przyrodzie ich nie brak, ale natomiast niewiele wiemy o tych pierwiastkach. Te, które już znamy, przejawiają zdumiewające możliwości.

ELEKTRYCZNOŚĆ BEZ MASZYN

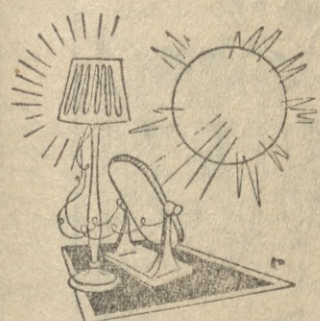
Od dawna marzyli uczeni, w jaki by sposób przekształcić ciepłą energię elektryczną bez pomocy maszyn. Znalazł się taki pierwiastek. Ma nazwę — german (germanium), symbol Ge. Liczba atomowa — 32, ciężar atomowy — 72,60. Odkryty został w 1886 roku przez Niemca Winklera (stąd jego nazwa), metodą analizy widmowej. Jest to kruchy metal, koloru szarobiałego — zbliżony właściwościami do cyny. W Związku Radzieckim już tysiące radioodbiorników otrzymuje pożywkę elektryczną z cylindrycznego, żebrowanego krążka nałożonego na szkło naftowej lampy. Półprzewodnik może przekształcić w elektryczność nie tylko ciepło, lecz i światło. Płytkę germanium, oświetloną promieniami słonecznymi, staje się generatorem elektrycznej energii.

Uczeni w wyobraźni swojej widzą już elektrownie, którym niepotrzebne będą ani kotły parowe, ani siła spadającej wody, ani turbiny. Energia elektryczna powstaje bezużytkowo w promieniach słonecznych.

Wiemy, jak liczne są urządzenia dla przetworzenia zmiennej prądu na stały. Motor-generator o sile 100 tys. amper, zajmując pokójny budynek. Tymczasem pracę tę wykonuje prostownik germanium, umieszczony w kacie niewielkiej izby. Przed 120 laty chemik francuski — Piotr Pelletier (1788—1842) odkrył dziwne zjawisko. Społszy trzy różnorodne przewodniki elektryczności, przepuścił przez nie prąd. W miarę grzewania się jednego końca łańcucha — drugi jego koniec się ochłodził. Zagadkę tę wyjaśniła współczesna nauka. W ten sposób wykryto dziwną właściwość półprzewodników — przemieniania ciepła w zimno, a zimna w ciepło.

MRÓZ OGRZEWA MIESZKANIA

Półprzewodniki mogą dawać wielką różnicę temperatur, dochodzącą do 60 stopni C. To znaczy, że nagrzawszy jeden koniec ognia, spojonego z półprzewodników, można otrzymać na drugim jego końcu 20



stopni mrozu. W ten sposób pracuje półprzewodnikowa lodówka. Część ognia, umieszczona wewnątrz lodówki, ochłodzi się przez nagrzewanie przeciwnego końca, wyprowadzonego na zewnątrz.

Myśl uczonych idzie jeszcze dalej. Mówią oni: a gdyby tak zwiększyć pole doświadczalne do rozmiarów domu mieszkalnego i ogniwo odwrócić, wyrzucając jego ochładzający koniec na zewnątrz budynku? Wówczas prawopodobnie zewnętrzne zimno w zimie nagrzeje znajdującą się wewnątrz część półprzewodnika i mieszkanie będzie nam ogrzewać... mróz.

Nie jest to wcale fantazja — lecz technika stosowania w przyszłości półprzewodników.

A oto jeszcze inna dziedzina z zakresu tej techniki. Mamy

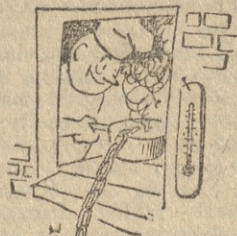
przed sobą szklaną kroplę wielkości lzy, i tak samo jak iza przezroczystą. Jest to detektor dla radioodbiornika. W naszym aparacie radiowym pracę pierwiastka germanium wykonuje radio-lampa znacznie większych rozmiarów. Weźmy inny przyrząd półprzewodnikowy: triod (lampa elektronowa, posiadająca trzy elektrody). Wielkość jego równa się główce średniej wielkości gwoźdźka. Za wiera 1/10 g germanium i dwie mikroskopijne części indium (ind — pierwiastek o ciężarze atomowym 114,76 i liczbie atomowej — 49). Przyrząd taki zastępuje skomplikowaną lampę radiową.

Lecz wyższość półprzewodnikowych radioaparatu nad dotychczasowymi tkwi nie tylko w ich rozmiarach i prostocie. Zwykła lampa radiowa na własną potrzebę zużytkowuje bardzo małą część energii elektrycznej — reszta ginie nieużytecznie. W półprzewodnikowych radioaparatach współczynnik pożytecznego działania osiąga połowę całej pobieranej mocy. Lampy radiowe trze-

ba od czasu do czasu wymienić aparaty zaś półprzewodnikowe służą tak długo, jak konstrukcja całego aparatu.

ZACZAROWANE KOŁO

W tej młodej gałęzi nauki jest wciąż coś nowego i zagadkowego. Nie znaleziono jeszcze



kresu jej możliwości, nieznane są granice stosowania półprzewodników. A tymczasem przemysł domaga się coraz więcej i więcej tych materiałów.

Niełatwo je zdobyć. Jest to za czarowane koło. Do najtrudniej uzyskiwanych pierwiastków należą: tellur, ind i germanium. Tellur (Te), liczba atomowa 65, ciężar atomowy — 159,2. Odkryty w 1843 r. Pierwiastek ten należy do rzadkich. Mimo to, we-

dług obliczeń uczonych, w skropie ziemskiej znajduje się jego dwa razy więcej niż złota, indium (ind) 10 razy więcej niż telluru, a germanium — 100 razy więcej.

Trudność polega na technice ich zdobycia. Znajdują się one w rudach w bardzo nikłym procentie. Przypomnijmy sobie, ile wysiłku zużyto na wydobycie z uranu izotopu — 235. Tymczasem tego izotopu w uranie znajduje się 7/10 procentu, a germanium w rudzie — tysiączną część.

Aby zdobyć tonę telluru, indium lub germanium, trzeba nieraz przerobić 100 tysięcy, a nawet pół miliona ton rudy! Najcenniejsze właściwości tych materiałów nie usprawiedliwiłyby kosztów związanych z ich wydobyciem, gdyby tylko półprzewodniki były wynikiem tej pracy. Na szczęście przerobienie rud daje inne cenne korzyści przemysłowe.

Jesteśmy w zaraniu rozwoju młodej nauki o półprzewodnikach. Kto wie, czy w czasie, gdy piszemy te słowa, uczeni nie odkryli już nowe pierwiastki półprzewodnikowe, których wydobycie będzie łatwiejsze, a działanie nie mniej skuteczne niż np. germanium. Nauka postępuje olbrzymimi krokami na przód.

Według „Litteraturnej Gaziety” H. B.



Alicja Dankowska w roli Agaty w operze Webera „Wolny Strzelec”, wystawianej w Państwowej Operze w Poznaniu. Fot. Grażyna Wyszomirska

Heliodor Muszyński

asyst. Katedry Pedagogiki UAM

O rodzicielskim autorytecie

Brak autorytetu wśród dzieci, to częsty objaw naszego życia rodzinnego i częsta bolączka rodziców. Jedni rodzice zdają sobie sprawę z własnych trudności wychowawczych, inni nie odczuwają braku szacunku i zaufania dziecka, ale niewątpliwie jedni i drudzy potrzebują pomocy. Rozwiązania tych naprawdę trudnych spraw wychowania rodzinnego spróbowała dokonać Elżbieta Jackiewicz w książeczce pt.: „Jak zdobyć zaufanie i szacunek dziecka?”.

Oto po całodziennych spotykaniach się kobiety — matki, dzieląc się wzajemnie swymi troskami. Większość trosk, to kłopoty z wychowaniem dzieci. Janek przebywa stale poza domem, uciekając spod kontroli rodziców. Jadzia okłamuje matkę. Józek sprytnie oszukuje i ucieka z domu. Antek zaś jest grubiański i awanturuje się z matką i babcią. Kłopoty różne, ale jedna ogólna bolączka wywodzi z nich wszystkich: brak szacunku i zaufania dziecka.

Rodzicom potrzeba rady: jak wychowywać? Jak postępować z dziećmi, aby zyskać autorytet i ich zaufanie? Cała książeczka jest udaną próbą odpowiedzi na te trudne pytania.

Nic się nie dzieje bez określonej przyczyny. Także brak autorytetu ma swoje źródło w postępowaniu rodziców względem dzieci. Z ich części książeczki dowiemy się, jak to jest, jak to przyczyny doprowadzają do zachwiania lub obalenia autorytetu rodziców.

Do przesłabości należą już stosunki rodzinne, w których podstawa autorytetu ojca była jego pozycja ekonomiczna, majątek lub fakt utrzymywania rodziny. To powodowało, że ojciec był wszechwładnym panem domu i największym, nienaruszalnym autorytetem. Dziś autorytet natomiast jest autorytetem moralnym: u jego podstaw tkwi postępowanie i etyka na postawie rodziców. Niestety, wielu rodziców zapomina o tym, że własną postawą kształtują swój autorytet i starają się obronić go przy pomocy całkiem innych sposobów. Powstają autorytety fałszywe, autorytety grozy, najczęściej potęgowane biciem, autorytety wyższości i dystansu lub zło pojętej miłości — dobroci przejawiającej się w dogadzaniu wszelkim zachciankom dziecka. Jakże są rezultaty takiego zabiegania, rodziców o autorytet? Ukazuje się wymownie i przekonywająco autorka: nieszczerść i kłamliwość spowodowana strachem, uczucie obojętności powodowane dystansem, egoizm i aśpoleczna postawa rozwinięta pod wpływem wychowywania w atmosferze uległości dla zachcianek dziecka — oto konsekwencje fałszywych autorytetów. Konsekwencje to bynajmniej niedostateczne, cechy te bowiem zaważą nie tylko na osobowości dziecka, ale wpłyną na ukształtowanie się postawy dojrzałego członka społeczeństwa.

Prawdziwy autorytet rodziców, podstawowy warunek dobrego wychowania rodzinnego, nie jest „wynikiem z góry określonych zamierzeń, zabiegów i chwytów stosowanych wobec dzieci, lecz przede wszystkim wynikiem postawy samych rodziców, treści ideowej i stylu ich życia” (str. 40). Warunkami koniecznymi dla utrzymania prawdziwego autorytetu rodzicielskiego są zarówno pewne wartości moralne rodziców jak również odpowiednia atmosfera życia w rodzinie.

Dużę rolę ma dla sprawy autorytetu posiadanie idealnej postawy rodziców. Dziecko pragnie być dum-

ne ze swych rodziców, pragnie, aby brali oni czynny udział w życiu społecznym, aby stanowili pewną wartość dla społeczeństwa. Uczy się ono cenić czynny wkład i bohaterstwo, w szkole uczy się miłości Ojczyzny i uczęszcza do wszystkich uczciwych ludzi. Jeżeli rodzice zaś lekceważą to wszystko, co zaczyna być cenne dla dziecka, jeżeli nie przedstawiają tych wartości społecznych, które mały człowiek chciałby w nich ujrzeć, to nie tylko wypaczają tym charakter dziecka, ale tracą zaufanie i autorytet w jego oczach.

Niemniejże znaczenie wychowawcze posiadają zalety moralne rodziców. Zapominamy często o tym, że dziecko patrzy na nas, że każdy nasz postępek jest lekcją postępowania dla dziecka. A jakże często zdarza się, że rodzice dostarczają swym zachowaniem wzorów najmniej nadających się do naśladowania. Rodzice pragną, aby ich dziecko było prawdomówne, a jednocześnie sami posługują się kłamstwem i obłudą, uczą dzieci uczciwości, a swym postępowaniem wykazują wręcz coś przeciwnego. uczą dzieci prawości, a sami inaczej mówią o sprawach społecznych i państwowych w domu, a inaczej na zebraniach.

I na koniec sprawa odpowiedniej atmosfery życia rodzinnego. Wydawać by się mogło, że tutaj nie nowego już powiedzieć nie można. A jednak książka budzi tyle myśli, zwraca uwagę na tyle momentów, nad którymi w życiu codziennym przechodzimy do porządku dziennego, że stanowiłby dla tych wszystkich rodziców, którzy poważnie myślą o stałym ulepszeniu wychowawczej atmosfery życia rodzinnego.

Ciekawe opisy faktów z życia i barwny styl książeczki pozwalają mieć pewność, że każdy, kto zdecyduje się rozpocząć czytanie — szybko dotrze do ostatniej kartki. A korzyść z lektury — niewątpliwa.

*) Elżbieta Jackiewicz: „Jak zdobyć zaufanie i szacunek dziecka?”. Wyd. Wiedza Powszechna, Warszawa, 1955.

Nasi niedopieczczeni

(Dokończenie ze str. 2)

lektura starszych kolegów po piórze i uważne wnikanie w istotę i tajemnicę ich osiągnięć.

Kilka propozycji

Tutaj wreszcie dochodzę do znalezienia tytułu mojego artykułu: „Nasi niedopieczczeni” — który powstał z chęci przedstawienia poezji polskiej beniaminków poetyckich „naszym pieszczołom”, piętnowanym przez Teoplitza.

Danielską, Rynowieckiego, Zeylanda i innych, próbujących swoich sił poetów wielkopolskich, nie można pozostawić wyłącznie własnemu silom w przełamywaniu impasu ideowego i artystycznego, trzeba im dopomóc do porzucenia niewdzięcznej roli echa ogólnokrajowych procesów i przemian — nie tylko literackich. Oczywiście, wiele tu ma do zrobienia Związek Literatów Polskich, który w prelekcjach dla Kola Młodych mógłby pomnożyć wiedzę „fac ową”, tak bardzo potrzebną początkującym pisa-

no wyświecić go w Stanach Zjednoczonych. Z tego powodu rezygnuje również w planach swoich z kręcenia szeregu scen w Nowym Jorku, ponieważ jak zauważa: „Mam wrażenie, że odarto by mnie tam żywcem ze skóry!”.

Chaplin zdefiniował swój przyszły film jako „satyrę z leżką” i jeżeli — używając jego słów — w owej „satyrycznej inspiracji” dostrzeże się pierwiastki głębokiej melancholii, to wyłącznie z tego powodu, że „wszyscy mali królowie są na ogół smutni!”.

Nie ulega wątpliwości, że w scenariuszu mieszczą się liczne rysy i momenty autobiograficzne z życia Chaplina. Sama już postać człowieka, osoba króla, która nosi tradycyjny melonik oraz łaskę — jest sylwetką wygnańca i człowieka odrąconego, czyli — niezrozumianego. Wierzył on w ideę pokoju a potraktowano go jako komunistę. Również fakt, że „mali król” posługuje się sanskrytem, a więc językiem martwym, posiada cechę swojszcizny zaważanego symbolu, ponieważ pewne środowiska ludzi młodych nie mogą zrozumieć jego wielkich idei. Bohater kreowany przez Chaplina jest postacią idealistyczną czasów dzisiejszych (w sensie reprezentowanych ogólnoludzkich idei pokojowych!) i jak każdy idealista, zmuszony jest nosić maskę. Stąd Chaplin wybrał formę komedii, tak dla niego typową.

Genialność Chaplina jako artysty, reżysera i kompozytora polega między innymi i na tym, że jest on człowiekiem, który nie tyle się zmienia, co stale — rozwija. Dlatego każdy z jego długometrażowych obrazów był i jest odbiciem jemu współczesnych czasów i wrażliwego ich odczuwania oraz osobistych przeżyć.

Głęboki humanizm zawarty w jego kreacjach polega m. in. również na tym, że pozwala się śmiać innym. „Nie mam innego celu — podkreślał i podkreśla wielokrotnie — jak pozwolić się śmiać ludziom!” Przyznajmy jednak, my wszyscy, którzy pamiętamy niektóre z jego filmów, że to nie jest takie proste i całkiem jednoznaczne. Czyż można bowiem zaprzeczyć, że Chaplin pozwala widzom również płakać. I w tym leży jego wielkość jako artysty, jako głębokiego humanisty i przyjaciela wszystkich ludzi.

Miejmy nadzieję, że tym razem doczekamy się filmu, który również i my będziemy mieli możność oglądania na naszych ekranach.

(wg „Les lettres françaises”)

Obecnie po trzech latach milczenia, Chaplin przybywa do Anglii, by przygotować nowy film, którego nakręcenie rozpocznie się przypuszczalnie w maju. Wprawdzie pierwotny scenariusz uległ już pewnym modyfikacjom, lecz szereg idei z poprzedniej koncepcji pozostało w nim nadal. Obojętnie ma nosić tytuł: „Król w Nowym Jorku”. Gdy pytano Chaplina o fabułę przyszłego filmu odpowiadał: „Król przybywa do Nowego Jorku i król opuszcza Nowy Jork. Był to król bardzo mały, panujący w jednym z niewielkich krajów europejskich. Pozbawili go tronu jego własni ministrowie, gdy pewnego dnia powziął zamiar wykorzystania energii atomowej dla celów pokojowych. Lecz tu (w Ameryce) zostaje uznany za komunistę i wysiedlony. Powraca więc do Europy i pędzi żywot wygnańca. Oczywiście — jak zauważył Chaplin — mały król zamieszkał w Szwajcarii, ponieważ w kraju tym znalazło przytułek wielu eks-królów. W filmie znajdziemy jeszcze wątek drugi: romantyczną miłość małego króla do pewnej dziennikarki amerykańskiej, rolę której ma zagrać młoda artystka angielska Dawn Addams.

Nowy film, Chaplin podkreśla to dość silnie, nie ma zawierać akcentów zdecydowanie nieprzyjemnej postawy wobec Ameryki, chociaż z drugiej strony Chaplin nie wyklucza tej możliwości, że obraz spotkać się może z poważnymi przeszkodami, gdyby zechcia-

Chaplin z córeczką



Chaplin z córeczką

rzom. Ale ten dezyderat trzeba skierować pod adresem redaktorów poznańskich dzienników (spełniających przecież dotąd funkcję tak bardzo brakującego Wielkopolskiego periodyku kulturalnego), którzy to redaktorzy mogą z powodzeniem przemieniać się — w liście lub w rozmowie — w nowoczesnych mecenasów literatury. Ten sam wreszcie postulat współodpowiedzialności za młoda, poznańską poezję, kierują w stronę jej czytelników, którzy listami i wypowiedziami (rzadko, co prawda, organizowanych na naszym terenie) dyskusjach, mogą waleńnie dopomóc w kształtowaniu się tak zasadniczych cech dobrej literatury, jakimi są: aktualność treści i komunikatywność formy.

Bo młodzieży, także i poetyckiej, należy się zawsze taka pomoc, która nie składa się z mdłych słodzących pieśniami — ani też ze żrącej, niby kwas solny, krytyki.

Zbigniew PEDZIŃSKI

Powieść fantastyczna

W południe megafony zapowiedziały start. Bara siedziała na fotelu obok męża i patrzyła w peryskopowy ekran panoramiczny, na którym widać było znajomy krajobraz i grupę biologów trzymającą się z dala — przy wzniesionym żelaznym schronie. Z przyzwyczajenia chciała się przypiąć pasami do poręczy, lecz przypomniała sobie, że nowy statek dzięki stałemu napędowi nie potrzebuje rozwijać przy starcie wysokich przyspieszeń. Za nieprzezroczystym szkłem w kabine nawigacyjnej widać było cienie poruszających się nawigatorów. Cicho brzęczały wentylatory i słychać było gdzieś za ścianą głęboki oddech kompresora, pompującego tlen do kabiny.

W oczekiwaniu na start Bara patrzyła na twarze obecnych. Malowało się na nich skupienie. Po opuszczeniu przez ekipy naukowe pokładu statku cała nowa załoga składała się zaledwie z kilku osób. Nie licząc nieobecnych Rena, Erriva, na i nawigatorów, na sali znaleźli się jedynie Jean Loiseau, lekarz pokładowy, jego asystentka Mira Duncan, Ligiwski.

Nagle dał się słyszeć trzask w megafonie i po chwili padła zapowiedź.

— Uwaga start! Przyspieszenie stałe $\frac{1}{3}$ g.

Oznaczało to, że statek z każdą sekundą będzie przyspieszał swą szybkość o trzy metry. Oznaczało to, że wszystkie rzeczy i ciała ludzkie, z chwilą wyjścia ze strefy przyciągania planety, stracą dwie trzecie swej wagi. Nie będzie zatem dokuczliwego braku ciężarów.

Podniecona Bara odnalazła rękę Dag Rossy i uściśliła ją mocno. W tej chwili spostrzegła ruch na ekranie.

Dalekie sylwetki ludzkie zaczęły się zapadać w dół. Na chwilę w polu widzenia ukazały się chmury, z których wyłonił się znajomy wulkan i zaczął przesuwając się ku dolnej krawędzi ekranu. Potem przed oczyma popłynęły nieznane łańcuchy górskie, nad którymi płyły złote pióropusze wybuchów. Niekiedy żółty dym zasłaniał wszystko i wreszcie jakas migotliwa, lśniąca płaszczyzna mignęła na horyzoncie.

— Spójrz... morze! — pochylił się ku żonie inżynier.

— Widzę — szepnęła Bara i za chwilę nieprzeniknione chmury zasłoniły całkowicie pole widzenia.

W uszy wdzierał się dokuczliwy szum. To huraganowy wiatr zmagiał się z powłoką statku. Gdy znów przejaśniło się, na dole falowała jedynie biała mgła półkolem zakrzywiając się na ekranie. Na górze zaś widać było ciemnofioletowe niebo, które czerniało bardzo szybko, ukazując gwiazdy. Pierwszy pojawił się Syriusz. Zapalił się niespodziewanie w lewym rogu ekranu i nim przesunął się ku środkowi, już lśnił otoczony mrowiem ostrych jak szpilki, świetlistych punktów. Później czerwony język liznął na chwilę krawędź ekranu i pozostawiwszy za sobą perłowy odbłask znikł, jak zdmuchnięty. To słońce w otoczeniu korony i protuberancji, jak wizerunek Ozyrysa na staroegipskich reprodukcjach, wstępowało we władanie nad skrawkiem kosmicznej nocy.

Bara przyglądała się soczewce zodiakalnego światła, widzianej w postaci lekkiej, srebrzystej mgiełki dookoła słonecznej tarczy i myślała o gorących wieczorach Leninpolis rozjaśnianych tym światłem i naszyconych tęsknotą do dalekich pozaziemskich podróży. Teraz ta sama tęsknota ciągnęła ją do domu, do błękitnego nieba odbitego w rzece, do szumu drzew i gwaru ludzkich głosów, które nigdy nie wymawiają takich terminów, jak synergiizm lub paralaksy.

Znów odezwał się megafon:

— Weszliśmy na stały kurs, szybkość ucieczki przekroczona. Proszę pamiętać o zmienionych warunkach fizycznych.

W swojej kabine Bara odśloniła zasłonę iluminatora, obserwowając znajome konstelacje, jakby przymarznięte w wiecznym bezruchu do dna czarnej, bezdennej głęбини. Jedynie powoli malejąca tarcza Wenus podobna teraz do złocistego jabłka, wskazywała na ruch statku. W pewnej chwili przypomniała sobie o znalezionym notesie Iwanowa.

Obejrzała podeptaną okładkę, piętyzmem wygładziła pomięte, zabrudzone kartki. Był to



Rys. L. Kapczyński

pamiętnik. W miarę jak czytała, coraz większe zdziwienie malowało się na jej twarzy.

Wprost nie do wiary, że mógł to napisać taki człowiek — pomyślała. Pochylone do tyłu literki składały się w jakies dziwne obserwacje i stwierdzenia:

„Nienawidzę nauki — cieszę się, że podróż nasza stała się jednym pasmem upokorzeń dla tych, którzy swym nędznym rozumem targnęli się na tajemnice wszechświata. Głoszą oni prymat wiedzy, a teraz są zdani na łaskę wiary. Wiary, że pycha ich nie zostanie ukarana, że będą uratowani. Głupcy!!! Dawniej ludzie wierzyli w istoty wyższe i to uczyniło ich skromnymi. Obecnie własny swój rozum umieszczają na ołtarzach. Gardzą nimi a oni mną gardzą. Śmiesz mnie to i przy pomina historię z kotem.

Czasami zdarza się, że dziecko potknie się o kamień i wybijie sobie oko, a potem całe życie jest ślepe. Ja będąc dzieckiem potknąłem się o kota. Ho, ho, ale nie jestem ślepy.

Było to tak. Bawiłem się na podwórzu w jasny słoneczny ranek z innymi dziećmi i wtedy go zobaczyłem. Siedział na parapecie okiennym i długo, długo obserwował coś na ziemi. Zaintrygowany chciałem się zbliżyć i zobaczyć, co to jest, gdy nagle wszystko wokół zabłysło niebieskawym światłem. Drzewa rzuciły białe cienie, które zaczęły przesuwając się pod nogami. Spojrzałem w górę. Na niebie leciał błękitny meteor wielkości ludzkiej głowy. Ludzie stawali z otwartymi ustami. Po chwili bolid eksplodował i wszystko wróciło do normalnego stanu. Znowu spojrzałem na kota, który przez cały czas nie zmienił pozycji. Po prostu nie zauważył meteoru. Widocznie miał przed sobą coś ciekawszego. Podbiegłem bliżej i ujrzałem na ziemi drugiego kota.

Podobnie ludzie chodzą ślepi na wszystko, zapatrzeni w siebie. Ten stan samoadoracji nazywają różnie: humanizmem lub nauką. Ja jeden tylko widzę ich nicie i za to mnie wszyscy nienawidzą. Cóż ja jestem winien, że profesor Rigo Watt na widok żywego lasu twierdzi, że jest on martwy dlatego, bo nie posiada białka. Widzę wówczas profesora, jak siedzi na parapecie mały i siwy, jak sama nauka, i patrzy na swego kota. Profesor Watt jest kotem. Dużym kotem w butach i okularach. Nie darmo w tytuł bajkach koty przedstawia się jako uczonych.

Bara odłożyła notes, musnęła ręką czoło, jakby chciała odpędzić sprzed oczu zmory: „Czyżby człowiek mógł mieć dwie twarze? Czyżby postawa geologa, jego stosunek do kolegów i wszystko co mówił o swej pracy było tylko mydleniem oczu? A może sztucznym utrzymywaniem się na poziomie? Iwanow byłby psychopata?”

Przerażała wprost logika rozumowania, pozornie mająca nawet sens, a przy tym zupełna niezdolność do uogólnień. Autor musiał być egoistą, człowiekiem złej woli, któremu zabrakło krytycyzmu, aby przekroczyć próg, za którym przecucia stają się wnioskami. A przecież Iwanow nie należał do ludzi takiej kategorii.

Spojrzała na podwójną tarczę zegarów zgodnie wskazujących godzinę dziewiątą.

„Że też ten Dag spóźnia się nawet na noc poślubną — pomyślała — czyżby też był kotem, który poza pracą nie dostrzega nawet żony?”

Było gorąco. Euve sprawdził

termometr. Temperatura podniosła się już powyżej stu dwudziestu stopni. Słońce dawało się we znaki. Ruchem ręki poleciał Sawczenko uregulować chłodzenie, a sam spojrzał na zegarek. Dochodziła dziesiąta. Wskazówka szybkościomierza zbliżała się do stu pięćdziesięciu kilometrów na sekundę. Rakietę osiągnęła już szybkość hiperboliczną i przyciąganie słoneczne nie mogło przeszkodzić jej w ucieczce. Za chwilę automat zacznie wyprowadzać statek z płaszczyzny ekliptyki. Euve skierował wzrok na ekran magnotometru, aby sprawdzić, czy rozkład natężeń magnetycznych jest zgodny z obliczeniami. Za matową tarczą przyrządu opalizujące kręgi świetlne zwały się i rozszerzały rytmicznie, w granicach przewidzianego maksimum.

Mruganie to znów nasunęło nawigatorowi niepokojące wspomnienie przymrużonych powiek asystentki lekarza — Miry Duncan. Stanowczo za często myślał o tej kobiecie. Już wówczas, gdy Errivan poprosił o dane dotyczące komety „Oterma” uświadomił sobie, że nie uwzględnił jej orbity, ponieważ w chwili segregowania materiału nawigacyjnego zaprzętał mu myśl obraz Miry. Teraz znów to samo, a przecież nie można palić siedząc na beczce prochu!

Gdy tak myślał, poczuł nagle, że Sawczenko trąca go w ramię. Nieznaczna fałda na czole przyjaciela sygnalizowała, że coś jest nie w porządku.

— Co się stało? — zapytał.

— Spójrz! — Sawczenko wskazał tablicę komparatora elektronowego, na którym co chwila zapalały się i gasły nieliczne iskielki.

Euve przekreślił galkę synchronizacyjną — gwiazdy stały nieruchomie w polu widzenia. Mrugania ustały. Przekreślił z powrotem i znów błyski.

Odgnął się szybkim ruchem włosów i sięgnawszy ręką po megafon, rzucił:

— Uwaga! Uwaga, zmiana kierunku i siły ciężarowania.

Pospieszenie przypinając jedną ręką pasy do poręczy fotela, drugą sięgnął do tablicy przyrządów, ręka ciężka jak ołów opadła na kolana. Samoczynne automaty kierownicze zaczęły hamować statek.

Euve poczuł szum w uszach, dociągnął klamry i spojrzał na wskazówkę gramimetru. Zbliżyła się do 10 g.

— Uwaga! Niebezpieczeństwo — krzyknął do mikrofonu — przyjąć pozycję leżącą!!

(Ciąg dalszy za tydzień)



Bez słów



— Trzy dni już pana szukamy, a pan siedzi sobie wygodnie bez zawiadomienia nas!

Bez słów

Lech Konopiński

LIRYK

czyli satyra
na stosunki
mieszkaniowe

Chcę być liściem na wietrze,
By móc bujać w obłokach
I by żył Twe obetrzeć —
Nie płacz niebieskooka!

Ja chcę taką mam wielką,
Żeby spłynąć po niebie
I poranną być mgiełką
— Wciąż się tulić do Ciebie!

Czyż mam mówić Ci jeszcze
O dziewczyno wysniona,
Że tak pragnę być deszczem —
Upaść na Twe ramiona!

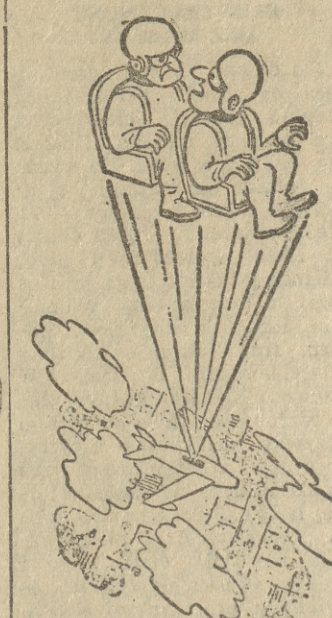
Chcę, by naszym mieszkaniem
Serce było wciąż Twoje —
Bo inaczej Kochanie
Trudno mieszkać we dwoje!!!



— Pieniądze... albo zaczęły grać na tym instrumencie.



— Muszę zawsze na wszystko uważać! Znowu zapomniała torebkę w sklepie...



„Zdaje mi się, że nacisnąłem nieprawidłowy guzik”.



Przepuście mnie! Jestem szoferem tego autobusu!

Podmuchy
WIOSNY

Rys. H. Derwich